GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: rocznie 5 zł. 50 ct.
półrocznie 2 „ — „
kwartalnie 1 „ 50 ct.
Za granicą: do Niemiec 11 mar.
Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
Ameryki . . . . . . 3 dol.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN DUCHOWIEŃSTWA.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 3. I. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

Rok IV. We Lwowie dnia 10. września 1896. Nr. 36.

Wiec katolików niemieckich
w Dortmund.

Tegoroczny, czterdziesty i trzeci z rzędu, wiec katolików niemieckich podobało się pewnemu zirytowanemu dziennikowi liberalnemu nazwać „marszem paradnym na miejscu“. Złośliwość ta sama się osądza, bo wiec w Dortmund był wspaniałą demonstracyą, która liczbą uczestników przewyższyła wszystkie poprzednie, nie wyjmując wieców w Kolonii i Monachium. Na wszystkich lub na niektórych posiedzeniach było łącznie przeszło 10.000 osób. Ścisk na trzeciem posiedzeniu publicznem przewyższał wszystko, co dotychczas widziano. Natłok był aż przerażający, a jednak podczas posiedzeń panował spokój wzorowy. Posiedzenia trwały po trzy i cztery godziny, a przy końcu zaledwie można było zauważyć pewne znużenie. Tysiące słuchały z natężoną uwagą, burzliwymi oklaskami dziękując mowcom. Nieuprzedzony przeciwnik musiał przyznać, że ma przed sobą prawdziwy ruch ludowy, żywą siłę, potęgę, z którą życie publiczne musi się liczyć; uprzedzeni kładli to na karb sztucznej demonstracyi i ultramontańskiej dyscypliny i ośmieszali się sami.

Posiedzenia publiczne, w trzecim dniu z konieczności podzielone, dawały tylko obraz niezupełny. Dziesiątki innych posiedzeń, dziesiątki zgromadzeń różnych związków, posiedzenia sekcyjne i poufne odbywały się pomiędzy niemi: we wszystkich salach było pełno, również pełno na uroczystościach wieczornych, które w każdej z pięciu sal liczyły po 1000 i 2000 uczestników. A nie należy zapominać, że na wiecu w Dortmund było wiele niedogodności: sala główna o dobre pół godziny chodu odległa od miasta, kolej elektryczna nie była w stanie dostarczyć potrzebnej ilości wozów, a uczestnicy wśród ulewnego deszczu musieli iść tam i z powrotem.

Treść i forma mów była doskonała. Naturalnie, jeden lepiej mówił, drugi gorzej, ale nie było mowy nieudałej, a niektóre były prawdziwymi popisami oratorskimi. Że najgorętsi mowcy utrzymali takt zupełny, mianowicie pod względem wyznaniowym, o tem nie potrzebaby wspominać, gdyby tym razem nie zachowano jeszcze więcej niż zwykle względów wobec innych wyznań mimo wszelkie prowokacye. Należy to podnieść tem bardziej, że mowy nie ulegały poprzednio cenzurze. Tak więc zawiedli się ci, którzy obiecywali sobie, że padnie jakie nierozważne słowo.

Zawiedli się ci także, którzy pragnęli rozterki, a spodziewali się jej co najmniej w kwestyi agrarnej. Tymczasem rezolucye w tej sprawie ułożono tak mądrze, a rozprawy prowadzono tak spokojnie i przedmiotowo, gdy chodziło o kwestye, w których różnica zdań była największa, że o jakiejkolwiek scysyi nie mogło być mowy.

Wiele uchwał nie zawierało nic nowego; są przecież rzeczy, które bezustannie trzeba powtarzać, a więc nic dziwnego, że wiece ponawiają swe uchwały. Ale te powtarzające się uchwały zawierają zazwyczaj coraz jaśniejsze sformułowanie i rozwinięcie żądań. Co przed laty ukazywało się tylko w ogólnych zarysach, przybiera coraz wyraźniejsze formy; część już zyskano, chodzi o uzupełnienie. Tak się dzieje mianowicie na polu społecznem. Trudno na tem polu o program ścisły, wyczerpujący. Wiece tem się nie zrażają, uzupełniają go i udoskonalają każdocześnie, bo im przyświeca chęć reformy społecznej i wierność zasadom, które Kościół głosi.

Zgromadzenie, święcąc przypadające w r. b. dwudziestopięciolecie istnienia stronnictwa centrum, dało wyraz swej radości, że partya ta tak szczere usługi świadczy ludowi na polu politycznem i społecznem, złożyło jej dzięki za dotychczasowe działanie i wyraziło zaufanie na przyszłość, a jeden z mowców wyrzekł: centrum zostanie tem, czem jest, partya polityczną, której działanie opiera się na sprawiedliwości i prawdzie religijnej, która dąży do dobrobytu wszystkich, nie zaś uprzywilejowania pewnej klasy i gotowa zawsze tam pomagać, gdzie pomoc najpotrzebniejsza.

Wiec okazał dowodnie, że katolicy w Niemczech są zgodni, zgodni w miłości Ojca św. i swoich biskupów, w wierności i miłości ojczyzny, w przekonaniach religijnych i politycznych, w pracy na polu kościelnem, społecznem i chrześcijańskiej miłości.

Dortmund jest miastem przemysłowem; kopalnie węgla, huty żelazne, wielkie browary, oto główne zakłady w miejscu i okolicy. Niegdyś było wolnem miastem hanzeatyckiem. Dziś z wspaniałości średniowiecznej pozostały przepiękne kościoły i stary, ale zaniedbany ratusz. Ale za to miasto jest przykładem, jak pilność i pracowitość ludności wpłynąć może na rozwój jej siedziby w czasie krótkim. W kilku lat dziesiątkach ludność wzrosła z 10.000 na 50.000, stanęły budowle wielkomiejskie, wzniosło się kilka nowych kościołów, wspaniały dom czeladni, wielkie zakłady dobroczynne i t. d. Stowarzyszenia katolickie kwitną.

Posiedzenia wiecu odbywały się w sali Fredenbaum, największej w całych Niemczech, a położonej wśród ślicznego ogrodu. U wstępu do sali wznosił się na skalistym piedestale posąg św. Bonifacego z krzyżem we wzniesionej prawicy a pastorałem w lewicy, naprzeciw piękna grupa charitas. Oba te dzieła wykonał monachijski artysta Busch, szkoda tylko, że z nietrwałego materyału. W osobnym budynku, umyślnie zbudowanym w ogrodzie, mieściła się wystawa sztuki chrześcijańskiej. Prowincye nadreńskie i Westfalia nadesłały wiele okazów; bardzo interesujący był dział starożytności, bądź orygi-

nalnych, bądź kopiowanych. Znakomite obrazy i kartony wystawiło stowarzyszenie sztuki chrześciańskiej. Posiedzenia sekcyjne i inne zgromadzenia odbywały się także w Fredenbaum, tudzież w Wilhelmslust i Hobertsburg, które również pięknie przystrojono. Miasto samo, przeważnie katolickie, przyozdobiono chorągwiami i łukami tryumfalnymi, wiodącymi od dworca.

Na wiec przybyli biskup dr. Simar z Paderborn, jego sufragan dr. Gockel i sufragan z Kolonii dr. Schmitz, tudzież arcybiskup Dahlhof z Bombay w Indyach. Chorego komisarza wieców księcia Löwensteina zastępował deputowany, radca konsystoryalny dr. Porsch z Wrocławia.

Na posiedzeniach publicznych przemawiali: O. Cyprian O. C. z Monachium o miłości chrześciańskiej; dr. Schorlemer z Overhagen o kwestyi rzemieślniczej, deputowany prof. dr. Schädler o niebezpieczeństwach grożących młodzieży i ich zwalczaniu, deputowany dr. Bachem o równouprawnieniu katolików; prof. dr. Maubach z Monachium o znaczeniu zakonnego życia w dzisiejszych czasach; górnik Brust z Alt-Essen o organizacyi stowarzyszeń zawodowych, rektor dr. Huppert z Bersheim o literaturze i prasie katolickiej, fabrykant Vogeno z Haaren koło Akwisgranu o prawach i obowiązkach robotników i pracodawców, biskup dr. Gockel o zadaniach stowarzyszeń św. Bonifacego, Maciej Wiese z Werden o katolicyzmie a postępie gospodarczym, deputowany Herold o organizacyi, proboszcz Schmitz z Trewiru o duchowieństwie a kwestyi społecznej, książę Arenberg o misyach w koloniach niemieckich, biskup Schmitz o znaczeniu Kościoła wobec idealnych dóbr społeczeństwa, adw. dr. Goerz z Trewiru o jubileuszu centrum, dr. Lieber o kwestyi rzymskiej.

W KWESTYI RUSKIEJ.

(C. d.). Dla lepszego jeszcze zoryentowania się w ruskich stronnictwach należy coś powiedzieć o ich stosunku do Kościoła, do rządu i do Polaków

Ciekawe stanowisko zajmuje do Kościoła katolickiego stronnictwo moskalofilskie. To, co wypisują dzienniki tego stronnictwa, jest bardzo nieprzyjazne Rzymowi i w ogóle Kościołowi katolickiemu, tak że nawet władza duchowna musiała zabraniać czytania podobnych publikacyi. Zakazy nie bardzo skutkują, zmienia się tytuł pisma, ale w nowej gazecie stary duch pokutuje. Ostatecznie moskalofile nie zrywają otwarcie z katolicyzmem ani z metropolitą, czuć jednak, że u nich unia wisi na cieniuchnej nitce i lada silniejsze wstrząśnienie zerwie ją natychmiast. Nigdzie nie mówią o różnicy między Kościołem katolickim-unickim a schizmą; to dla nich jakby wszystko jedno, znają tylko „wiarę ruską“, która w unii przybrała jakąś formę zwyrodniałą i niedoskonałą, podczas gdy w prawosławiu istnieje w swej dawnej czystości i blasku.

Nic więc dziwnego, że pisma stronnictwa moskalofilskiego nie lubią wspominać o unii, a historycy moskalofile piszą o niej z taką samą niechęcią jak rodowici moskale-schizmatycy.

Dużo takich elukubracyi wprost schizmatyckich można było czytać w szpaltach *Haliczanina* z okazyi jubileuszu i Wiecu katolickiego. Tym samym duchem tchną wszystkie prawie książeczki wydawnictwa Kaczkowskiego, które setkami rozchodzi się po czytelniach ludowych, a kolportują je niestety prawie sami księża. Wszyscy Rusini narodowcy wskazują na Stauropigię jako twierdzę stronnictwa moskalofilskiego; jeżeli to prawda, to chyba dowodzi, że to bractwo pozostało wierne swym tradycyom i nigdy szczerze unii nie przyjęło. — Tutaj nasuwa mi się nielada zagadka do rozwiązania. Według najbardziej optymistycznego obrachunku do tego stronnictwa należy prawie połowa, jeżeli nie większość, ruskiego duchowieństwa (przyznają to sami narodowcy), a więc pisma nieprzychylne Kościołowi katolickiemu podtrzymują i propagują sami księża. Wynikałoby stąd, że połowa, a nawet większość, ruskiego duchowieństwa nie sprzyja unii i żywi aspiracye schizmatyckie. A jednak nie mam odwagi uczynić takiego wniosku, nie śmiałbym wszystkich księży moskalofilów, a jak się sami nazywają, staro-ruskich, posądzić o coś podobnego. Zapewne są między nimi unii nieprzychylni i musi ich być dosyć, gdyż inaczej podobne pisma nie mogłyby się ostać, ale sam znam księży moskalofilów zdecydowanych, którym jednak pod względem kościelnym nic zarzucić nie można. Owszem, spotykałem i takich, co w swoich przekonaniach religijnych byli twardzi dla siebie i dla drugich, dalecy od tego, powiedziałbym, liberalizmu kościelnego, jaki nie rzadko można spotkać u duchowieństwa, należącego do obozu narodowców. Oczywista, sąd mój opieram wyłącznie na zewnętrznych oznakach, bo do wnętrza ich duszy zaglądnąć trudno; ale głos dość powszechny mówi, że więcej księży pobożnych i sumiennych należy do stronnictwa staro-ruskiego, aniżeli do narodowców. Co prawda nie bardzo ich rozumiem, bo trudno mi pogodzić tę ich prawowierność i pobożność z sympatyami moskalofilskiemi. Tłumaczą się wprawdzie, że oni rozróżniają rząd rosyjski i prawosławie od narodowości, przypuszczają możliwość zmiany systemu rządowego, ale, gdyby się dostali pod berło rosyjskie, czemu wcale nie są przeciwni, cóżby się stało z ich katolicyzmem? Tej zagadki nie umiałem sobie rozwiązać nigdy i rzeczywiście rozwiązać ją trudno; nie dziw więc, że ogół podejrzywa szczerość ich katolicyzmu pomimo wszelkich pozorów lojalności względem papieża i Kościoła.

Słyszałem z ust wiarogodnych, że na Wiecu katolickim we Lwowie w sekcyi prasowej toczyła się między samymi Rusinami arcyciekawa dyskusya na ten temat. Świeccy zwłaszcza Rusini narodowcy wystąpili z ostrymi zarzutami przeciwko duchowieństwu staro-ruskiemu, że rozszerza pisma nienarodowe i niekatolickie, że w kazaniach i pismach nie używa czystego ruskiego języka, pisowni i t. d. Oczywiście chodziło tym panom nie o interesa Kościoła katolickiego, ale o interesa narodowościowe; podobno nie szczędzili przytem nawet ostrych wycieczek przeciw swej hierarchii. Bardzo rozumnie miał im odpowiedzieć jeden z duchownych ruskich, że kwestya języka i stronnictw jest rzeczą polityków świeckich, duchowieństwo, a zwłaszcza hierarchia, w pierwszym rzędzie powołana jest do przestrzegania zasad katolickich i kościelnych bez względu na stronnictwa.

W partyi narodowej czyli tak zw. ukraińskiej można wprawdzie znaleść poprawniejsze poglądy pod względem kościelnym, zwłaszcza w odłamie ugodowców, tylko niestety poglądy te nie są wspólne całemu stronnictwu. W tej grupie, która skupia się około osoby ks. kardynała-metropolity, jest lepsze zrozumienie unii, powołania kapłańskiego, są pewne objawy gorliwości, próby zakładania bractw, odbywania misyi etc., ale po za tą grupą można znaleść w stronnictwie narodowem dużo niechęci do Rzymu, do reformowanych Bazylianów, jakieś aspiracye autonomii cerkiewnej, zbytnie przecenianie obrządku, o jakiem była mowa w pierwszej części, a przedewszystkiem dużo liberalizmu, zwłaszcza na lewem skrzydle. Uznają unię nie tyle dla tego, że ich zrobiła katolikami, ile raczej dla tego, że uwydatnia narodową odrębność Rusi i chroni ich od zlania się z Moskalami.

Ileż to razy *Diło*, organ tego stronnictwa, wchodzi w kolizyę z nauką Kościoła katolickiego i metropolitą; z okazyi obchodu unii zachowywał wielką rezerwę, a względem Wiecu katolickiego zajął stanowisko wprost nieprzyjazne i prawie ręka w rękę szedł z *Haliczaninem;* żądał nawet osobnego Wiecu ruskiego, by swój separatyzm zamarkować. Praca nad ludem — oto hasło narodowców. Ale kto się tej pracy przypatrzy z bliska, zobaczy, jak tam mało jest religii i ducha kościelnego. Nawet duchowni więcej dbają o to, by lud przez szkoły narodowo uświadomić, przez czytelnie i wiece politycznie rozwinąć, przez torhowle i bractwa wstrzemięźliwości

ekonomicznie podźwignąć, aniżeli by go przez katechizm ugruntować w zasadach katolickich i przez częstą spowiedź i religijne praktyki umoralnić i do pobożności zachęcić. Oczywiście taka praca szerzy między ludem nie życie prawdziwie chrześcijańskie, ale pewną polityczną dojrzałość gorszego gatunku bo połączoną z niechęcią, a nawet nienawiścią do szlachty i Polaków.

Przejdźmy teraz do stosunku, w jakim zostają obydwie partye ruskie do rządu. Partya świętojurców posiada z czasów dawniejszych niejedno miłe wspomnienie, kiedy to Rusini byli benjaminkiem rządu krajowego, a metryka ruska dawała patent na lojalność. Chodziło wtenczas rządowi o stworzenie nowej narodowości, by ją można przeciwstawić Polakom zgodnie z zasadą: *divide et impera*. Czasy te minęły, zdaje się, niepowrotnie. W miarę, jak wymierały dawne typy lojalnych hofratów świętojurców, którzy między sobą po niemiecku mówili, a młode pokolenie tego stronnictwa kompromitowało się politycznie na każdym kroku, słabło zaufanie rządu, aż w końcu niektóre procesy polityczne z lat ostatnich, otworzyły całkowicie oczy rządowi na ducha i działalność partyi staro-ruskiej. Nawet ci, co jawnie nie występowali przeciw rządowi, powoli przygotowywali teren do akcyi antypaństwowej; dzisiaj są może ostrożniejsi, wątpić jednak należy, czy się kiedykolwiek wyrzekną panslawizmu w duchu rosyjskim. W obec tego rząd nie może już ufać temu stronnictwu tak jak dawniej, trzyma je z daleka, owszem, ile możności, usuwa je od swej łaski.

Za to dzisiaj stronnictwo narodowe weszło we wszystkie przywileje dawnej partyi staro-ruskiej. Jak przedtem przeciwko Polakom rząd przez czas jakiś popierał Rusinów, tak obecnie proteguje partyę młodoruską przeciw moskalofilom, a czyni to dość forsownie i wszędzie: w urzędach, w szkole, przy wyborach, a nawet w kościele. W kraju takim, jak Austrya, gdzie tyle sprzecznych interesów narodowościowych krzyżuje się z sobą, rząd z trudnością tylko może prowadzić politykę inną niż oportunistyczną, z dnia na dzień. Ponieważ wszystkich narodowości zadowolić nie może, stara się przynajmniej zaspokoić i pozyskać sobie niektóre partye, by przy ich pomocy rządzić i tłumić dążności państwu szkodliwe. Tak stało się i u nas. Ażeby uciszyć czasem może uzasadnione, ale dość często i nieuzasadnione, krzyki Rusinów, zbliżył się rząd do partyi mniej nieprzejednanej, t. j. narodowców, zaczął się ubiegać o ich przychylność, by pokazać przed światem, że u nas spokój i zgoda, bo są Rusini ze swego położenia zadowoleni i silnie z monarchią związani. A ponieważ łatwiej pozyskać osoby niż partye, więc też od czasu do czasu jeden lub drugi z posłów młodo-ruskich jakby na zamówienie wygłasza ugodową mowę, w ruskim obozie powstaje hałas przeciwko mowcy, ale my się cieszymy, a co ważniejsza, w Wiedniu podziwiają mądrość rządu krajowego — zresztą zostaje wszystko po dawnemu. Oczywiście każda mowa musi być dobrze zapłacona ustępstwami na rzecz narodowców ruskich lub na rzecz osób, w miarę tego, czy na większe lub mniejsze pociski ze strony swoich musi się mowca narazić. To protegowanie ze strony rządu stronnictwa narodowego może najbardziej rażąco występuje przy wyborach na posłów, gdzie czasem Polak, mający wszelkie szanse, musi ustąpić mandatu kandydatowi ruskiemu jedynie dla tego, że rządowi potrzeba bardziej w sejmie lub parlamencie Rusinów narodowców, niż Polaków choćby zdolniejszych.

Bywa podobnie czasami i przy obsadzaniu posad; miejsce otrzymuje rusin, którego może jedyną zaletą, nie powiem już kwalifikacyą, jest to, że jest narodowcem.

Doprawdy nieraz wydaje się, że rząd postępuje z młodo-rusinami tak samo jak słaby ojciec z znarowionem dzieckiem. Takiemu dziecku wolno daleko więcej niż innym, na wiele jego wybryków patrzy się przez palce, jakby łaskę przyjmuje się od niego to, co dla innych ścisłym jest obowiązkiem.

Dość przeglądnąć ruskie pisma i gazety, przysłuchać się przemowom publicznym, krytykom, żalom, przypatrzyć się pewnym manifestacyom i demonstracyom politycznym, — ciekawym, czyby to wszystko nam wolno było? Jako małą próbkę przytoczę fakt powszechnie znany. Kiedy niedawno jeden z posłów ruskich w delegacyi naliczył dużo milionów Rusinów, którzy poczuwają się do wspólności, dano mu brawo i otrzymał gratulacye publiczne. Prawie równocześnie z okazyi wystawy lwowskiej poruszono jedność narodową Polaków wszystkich zaborów, powstało dużo krzyku, nawet wielu z naszych uznało takie przemówienie za nieroztropne.

(C. d. nast.). *Ks. S.*

W kwestyi armeńskiej.

Pod tytułem *Wahrheit über Armenien* dr. Jan Lepsius, syn znanego egiptologa, ogłosił w *Reichsbote* szereg artykułów, opartych w pierwszym rzędzie na sprawozdaniu ambasadorów z dnia 4. lutego b. r. złożonem Sułtanowi, a uzupełnionych sprawozdaniami świadków naocznych, konsulów, podróżników, kupców i t. d. Artykuły te tworzą obraz zaiste straszliwy. Autor systematycznie przechodzi wilajet po wilajecie, przytacza wszędzie cyfry i daty. Przed oczyma czytelnika przesuwają się Trapezunt, Erzerum, Bitlis, Wan, Mamuret-el-Azis, Diarbekir, Sivas, Aleppo, Adana i Angora; wszędzie rzeź bezbronnego ludu, srogie okrucieństwa, zniszczenie dobytku. Władze i wojsko wspierają mordujących muzułmanów; rzeź zaczyna się częstokroć na znak trąbki lub bębna; ludność ormiańska stwierdza jednozgodnie, że nigdzie nie prowokowała. Czytając, dopiero uwierzyć można, że 100.000 ofiar padło pod nożem. A śmierć nie była jeszcze złem największem. Mordercy tak się rzezią znudzili, że wymyślali najsroższe męczarnie, aby ofiary swe powolnie o śmierć przyprawiać. Los niewiast i dziewcząt był jeszcze okropniejszy; hańbiono je przed śmiercią albo zhańbione wleczono ze sobą. Cóż dziwnego, że w wielu miejscach kobiety i dziewczęta tłumnie rzucały się w wodę, woląc śmierć w falach, niż stokroć gorsze życie.

Autor stwierdza, że rzeź armeńska była istotnem prześladowaniem chrześcijan. Wprawdzie traktat paryski i wiedeński proklamowały wolność religijną w Turcyi, co też porta uznała, ale jest to zasada, której w praktyce się nie wykonywa, bo mahometanizm jej nie znosi. Okrucieństwa w Armenii były z razu czemś politycznem albo administracyjnem, lecz stosownie do charakteru muzułmanów wnet przerodziły się w prześladowanie religijne. Już to tego dowodzi, że równocześnie odbywały się wszędzie przymusowe nawracania na islam, spustoszenie kościołów i znęcanie się nad duchownymi. Już w sprawozdaniu ambasadorów stwierdzono, że w dwudziestu miastach i wsiach dokonano tłumnych nawróceń na islam i że powodem i środkiem do nawrócenia wszędzie była groźba nowej rzezi. Ogromną ilość tych nawróceń, którym na całym obszarze rzezi wszyscy pozostali przy życiu musieli się poddawać, teraz dopiero można obliczyć w przybliżeniu. Ilość tych, których w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy teroryzmem tłuszczy muzułmańskiej, a za podżeganiem duchownych mahometańskich i przy jawnej lub tajnej pomocy organów rządowych, gwałtem na islam nawrócono, dosięgła już stu tysięcy, a drugich stu dosięgnie, jeżeli bezsilna polityka mocarstw chrześcijańskich będzie nadal schlebiała fanatyzmowi muzułmańskiemu, jak dotychczas. Autor ma spis 559 wsi, w których pozostałych przy życiu mieszkańców ogniem i mieczem nawrócono na islam, w których 282 kościołów złupiono, zburzono i zrównano z ziemią, a 21 kaznodziejów protestanckich i 170 duchownych gregoryańskich, którzy nie chcieli przyjąć islamu, torturowano i wymordowano. Przytacza przykłady, dowodzące fanatyzmu religijnego muzułmanów, ale zarazem świadczące o chrześcijańskiej odwadze i stałości, go-

dnej czasu pierwszych męczenników. Aby zaś gwałtem nawróconych utrzymać w nowej wierze, używa się prostego środka: za najlżejszem podejrzeniem, że nie nawrócili się szczerze, morduje się ich; wszak za odstąpienie od islamu śmierć jest karą. Częstokroć nie czekają nawet podejrzenia: mordują ich zaraz po nawróceniu, aby tem pewniej dostali się do raju Mahometa i aby ich nie potrzeba pilnować. Czy to nie jest prześladowanie chrześcijan, pyta autor, czy w państwie tureckiem wolność religijna istnieje w myśl traktatów?

Dalej dr. Lepsius omawia zachowanie się władz tureckich, cywilnych i wojskowych, w obec rzezi. Wykazuje, że pytania, kto ją przygotował, nie można jeszcze roztrzygnąć; w każdym razie rzeź i rabunek były zorganizowane w sposób, świadczący o rzadkiej przezorności i ostrożności. Na pytanie, kto kierował dramatem ormiańskim, fakta dały już odpowiedź: władze trzymały wszystkie nici w ręku, nic nie działo się bez ich przyzwolenia, nakazu, wiadomości lub dodatkowej sankcyi. Autor na podstawie zebranego materyału oskarżenie na władze tureckie streszcza w następujących punktach:

1. Władze cywilne i wojskowe przeciw przygotowaniom do rzezi nie wystąpiły ani z własnego popędu, ani na żądanie naczelników gmin ormiańskich, ani na żądanie konsulów.

2. Władze cywilne i wojskowe same przyczyniły się do przygotowania rzezi, ponieważ przed jej wybuchem wydały następujące zarządzenia: wymusiły systematycznie rozbrojenie ludności ormiańskiej; ludności muzułmańskiej pozostawiły broń; ludność turecką i kurdyjską zaopatrzyły nadto obficie w broń, po części z magazynów wojskowych; niektórzy wodzowie i dowódzcy wojskowi objeżdżali wilajety, aby ludność zachęcać do rabunku, rozdzielać broń, a szczepy kurdyjskie i czerkieskie nakłaniać do napadu na wsi i miasta ormiańskie i w tem je pouczać; władze łudziły ludność chrześcijańską przyrzeczeniami ochrony, zakwaterowaniem wojska i redyfów, przeznaczonych pozornie do utrzymania porządku, w istocie zaś do udziału w rzezi i rabunku; umożliwiły napad i rabunek bazarów, ponieważ ludność ormiańską, która z obawy zamykała sklepy i kryła się w domach, to kłamliwemi zapewnieniami o przywróceniu spokoju, to kategorycznymi rozkazami i środkami przymusowymi doprowadzały do otwarcia sklepów.

3. Władze cywilne i wojskowe, nawet najwyżsi urzędnicy osobiście, brali udział w rzezi, rabunkach i nawracaniu na islam, albowiem: oznaczali początek rzezi na pewien dzień i godzinę; postanawiali dni i godziny, w których tłuszczy, Kurdom i wojsku wolno bezkarnie mordować i rabować; dawali znak trąbką lub bębnem do rozpoczęcia rzezi; prośby ludności chrześcijańskiej o pomoc odrzucali, a proszących aresztowali; prośby i petycye telegraficzne do władz wyższych, a mianowicie do sułtana, wstrzymywali; przed rzezią, podczas niej i po niej aresztowali mnóstwo ormian, którzy bez żadnego śledztwa do dziś jeszcze siedzą w więzieniach i znoszą tortury; przeznaczali wojsko, redyfów, Kurdów i Czerkiesów do rzezi; przez swe oddziały wojskowe lub żandarmów zapewniali sobie swój udział w łupie.

4. Władze cywilne usiłowały rzeź i rabunek ukryć lub uniewinnić, ponieważ: obwiniały Ormian fałszywie o prowokacyą; na notablach ormiańskich więzieniem, groźbą śmierci lub nowej rzezi wymuszały oświadczenia, że Ormianie sami spowodowali wybuch rzezi i że władze przywróciły porządek; nakazywały grzebanie trupów i starały się zacierać ślady zniszczenia; przeszkadzały doniesieniom o rzeczywistym stanie rzeczy, wyłapując listy i nie dopuszczając obcych sprawozdawców; nakazywały tu i owdzie pozorny zwrot zrabowanego dobytku, ale tylko rzeczy bez wartości i zaledwie setną część łupu; nie troszczyły się o wykonanie nakazów wstrzymania rzezi, rabunku i gwałtownych nawróceń.

5. Władze nic nie czyniły, aby ludność, z wszystkiego obrabowaną, zasłonić przed następstwami rabunku: zasiłki rządu były śmiesznie małe, a ustawały po kilku dniach lub tygodniach; usiłowaniom europejskich komitetów ratunkowych czyniono wszelkie przeszkody i trudności, a tylko energia ambasadora angielskiego, jako przewodniczącego w komitecie międzynarodowym, zdołała ład wprowadzić; ku odbudowaniu domów, uskutecznieniu zasiewów i ochronie ludności przed zimą nic nie uczyniono; wychodźstwu nędzarzy przeszkadzano; o tysiące wdów, sierót, chorych i nędzarzy nie dbano zgoła; nędzarzom resztę mienia zabierano przez bezwzględne ściąganie podatków i tym sposobem odbierano nawet dane zasiłki.

6. Powtórnej rzezi lub jej wybuchowi w miejscach dotychczas jeszcze oszczędzonych władze wcale nie starają się zapobiec.

7. Hersztów i uczestników rzezi, rabunku i gwałtownego nawracania żadna nie dotknęła kara.

Wykazując te zarzuty, autor stwierdza, że we wszystkich miastach i dystryktach wiejskich władze same więzieniem, torturami, groźbą śmierci i nowej rzezi zmuszały duchownych gmin ormiańskich do podpisywania kłamliwych zeznań, fałszywych sprawozdań, obłudnych adresów dziękczynnych i fałszowanych dokumentów tej treści, że Ormianie sami rewolucyjnym buntem zakłócili spokój, który tylko dzięki usiłowaniom władz przywrócono. Między przytoczonymi dokumentami znachodzi się następujący list z Arabkir z dnia 29. grudnia 1895:

„Kochany bracie!... W tej całej sprawie najbardziej jest cyniczne, że po wszystkiem, co musieliśmy wycierpieć, zmuszają nas teraz do podpisywania adresu dziękczynnego do Sułtana. Zmuszają nas nawet do przyznawania, że my Armeńczycy sami wszystko to uczyniliśmy. Czy Armeńczycy poszaleli, że nawzajem się mordowali i własne domy palili? Czy Europa już tak zgłupiała, że nie wstydzą się jej oszukiwać środkami tak wstrętnymi? Opowiadaj w Europie, co tu się działo, aby nas przyszli ratować; bez pomocy jesteśmy zgubieni. Nędza nasza jest straszna. Ci, którzy rzeź przeżyli, kobiety, starcy, dzieci, powracają z gór, dokąd byli się schronili; chorzy, pół nadzy, wyczerpani z głodu i zimna, błądzą po ulicach, pukają do domów, pozostałych po pożarze i żebrzą. Nikt jednak nie ma im co dać. Jedzą trawę“.

Na pytanie, kto winien, autor na podstawie licznych wskazówek odpowiada wreszcie, „że rzeź armeńska niczem innem nie była, jeno zarządzeniem administracyjnem, wydanem przez rząd centralny w imieniu Sułtana, a wykonanem przez władze prowincyonalne z nadmierną gotowością“. Pod względem miejsca, czasu, narodowości ofiar, a nawet metody mordu i rabunku, rzeź cała odbyła się na podstawie jednolitego planu. Te tylko dystrykty ucierpiały, w których reformy miały być przeprowadzone, a w nich uderzono tylko na Ormian; wyszedł surowy nakaz, aby oszczędzać inne narodowości, a mianowicie Greków, bo inaczej Rosya byłaby zaraz się wmieszała. Cała ludność turecka, mając zapewnioną bezkarność, była przekonana, że działa na rozkaz i w imieniu Sułtana; pouczono ją także, że Szeik-ul-Islam dał przyzwolenie. Pytanie, czy Sułtan osobiście wydał rozkaz, czy też kamarylla dworska swemi sztuczkami i fałszowanymi listami go upozorowała, autor pozostawia bez odpowiedzi, ale zaznacza, że monarcha autokratyczny ponosi całą odpowiedzialność za rzeź, a głos Turków wskazuje go bezprzecznie jako ostatecznego herszta rzezi i rabunków. „Sąd historyi, kończy autor, nie będzie inny, bo zbyt wieloma czynami mąż ten okazał się pierwszym przedstawicielem staro-tureckiego fanatyzmu. Umundurowaniem kurdyjskich band zbójeckich, które teraz po jego imieniu zowią się pułkami Hamida, stworzył główne narzędzie do niszczenia swoich poddanych chrześcijańskich, a odznaczeniem i awansowaniem urzędników rządowych, którzy w rzezi najbardziej się skompromitowali, hersztów najhaniebniejszych zbrodni uczynił wybranemi narzędziami swej polityki. Bezkarnością zaś wszystkiego, co działo się w tym straszliwym czasie, położył swą cesarską pieczęć na nakazie mordu i wandalizmu, którym nic równego nigdy nie było i prześladowania chrześcijan, jednego z najsroższych po wszystkie czasy“.

Przyjaźń.

Nowy Sącz, 31. sierpnia. Zeszłej soboty, o 8-mej wieczór, socyaliści tutejsi zwołali „ludowe“ zgromadzenie do sali zawodowego kółka robotników kolejowych. „Ludu“ nie było. zeszło się kilkudziesięciu socyalistów z „towarzyszkami“ i kilkunastu „ciekawych“ nietowarzyszy, razem 210 osób. Zagaił

zebranie prezes socyalistycznej *Siły*, stolarz Miczan, który niedawno jeszcze przewodniczył „bractwu dobrej śmierci“ i modlił się w jezuickim kościele; resztę posiedzenia zapełnił swą oracyą p. Daszyński. Zdawał sprawę z kongresu socyalistów w Londynie, rozumnie pominął milczeniem arcyniegościnne przyjęcie hersztów niemieckiego socyalizmu, Bebla, Liebknechta, Singera, w Lille. dowodził, że na owym kongresie żadnych „bitek“ nie było, chociaż powszechnie wiadomo, że przez pierwsze dwa dni kongresu socyaliści z anarchistami takie awantury wyprawiali, że aż gospodarz lokalu wpadł do sali i zagroził wypędzeniem, a bitki z sali na ulicę się przeniosły. Dowodził jeszcze dziwną sofistyką „patryotyzmu polskiego“ międzynarodowych delegatów z Galicyi, Księstwa, Królestwa Polsk. i emigracyi naszej. Mniejsza o to; co ważniejsza, to „lekcye“, jakie dawał socyalistom o koniecznej potrzebie przeniesienia agitacyi socyalistycznej z miast na wsi, do ludu wiejskiego i o sposobie „uświadamiania ciemnego chłopa galicyjskiego“, o tej jego biedzie i o przyczynach tej biedy. Idź towarzyszu, mówił, na wieś, do karczem, do chat, zatrzymuj po drodze „chłopa“, oświadcz się od razu, żeś socyalistą, że przychodzisz oświecić go. bo wszystko, co mówią księża, to blaga, pytaj go, dlaczego wódka taka droga, dlaczego porozbijane szyby w jego chacie, dlaczego on taki zbiedzony i odarty? Kto temu winien? Powiedz mu, kto jego wyzyskiwaczem: rząd, co podatki ciężkie nakłada, na wojsko stałe, na rewie niepotrzebnie miliony wydaje i t. d.; bogacze, co się pracą chłopa tuczą, bo z chłopa wszyscy żyją i t. d. Do nas przystań, my socyaliści cię obronimy przed wyzyskiem, poprawimy twoją dolę. Jak tylko my się dostaniemy do władzy, to wy chłopi niebo mieć będziecie na ziemi i t. d. Namawiał towarzyszy, aby, gdy zobaczą kogo majętniejszego w szynku czy indziej, aby wprost żebrali o pieniądze na cele agitacyi między ludem. Przyrzekał, że przyśle gotowe już drukowane kartki agitacyjne, niech je rozrzucają przez otwarte okna, przez szpary od drzwi, do mieszkań, do suteren, po ogródkach, niech wpychają w rękę po ulicach, placach chłopom, wyrobnikom „od pierwszego żydka do ostatniego jezuity“ i t. d. Konkludował: pieniędzy, pieniędzy tylko potrzeba, nie wzywał jednak do składek, bo to się już robi, jeno swoim towarzyszom na „żebraków“ przestrychnąć się radził.

Jakoż wiem to na pewno, że już od niejakiego czasu sądeccy ajenci socyalistyczni po szynkach i piwiarniach, na przedmieściach i po karczmach w okolicznych wioskach łupią kogo mogą, chłopa czy wyrobnika i przypijając, a czasem i fundując mu, rozpoczynają pogawędkę socyalistycznej treści i dążności i przewracają mu w głowie.

Dodać winienem, że jak w Sączu, tak w Krakowie, w Białej, Tarnowie, Bochni, Rzeszowie, Przemyślu, Lwowie, Stryju, Stanisławowie i Kołomyi, odbywały się lub odbędą podobne „ludowe zebrania“, na których Daszyński i inne herszty socyalizmu nawołują do agitacyi między ludem i ta agitacya już się rozpoczęła.

Lekceważyć tego ruchu nie należy. Nie oglądając się na rząd, który w obec ustaw konstytucyjnych jest tu bezsilny, Duchowieństwo w pierwszej linii, a z niem społeczeństwo, inteligentne i uczciwe, wystąpić powinno przeciw socyalistom z całą świadomością *bezbożności* i *zgubności* ich robót. Bezbożności, bo galicyjscy socyaliści uznają zasady Marxa, ojca socyalnej demokracyi niemieckiej, która już w r. 1894 rzuciła do urny wyborczej 1,400.000 głosów i są jej odnogą. Otóż Marxa teorye są oparte na pojmowaniu historyi na wskroś materyalistycznem; nie ludzie tworzą porządek ekonomiczny, ale ekonomiczne materyalne stosunki wyrabiają ludzi i tworzą historyą, należy więc własność prywatną, produktywną znieść, zamienić na wspólną komunalno-państwową, a od razu obali się to, co z własności prywatnej wyrosło: religia, rodzina, różnica stanów i wszelka władza. Jest to formalna herezya XIX. wieku. Socyalizm więc galicyjski jest wprost ateistyczny, bezwyznaniowy i to z zasady swojej, znosi własność prywatną, a z nią rodzinę, wywraca do góry dnem cały ustrój społeczny. Do czasu tylko i to przed robotnikami i chłopami, aby ich nie zrazić, kryje się z oną swoją bezbożnością, kłamiąc udaje cześć dla religii, ale zręcznie i zdradliwie zapuszcza ten jad niewiary, a już otwarcie pod pozorem „wyzysku“ jątrzy, podburza robotnika i chłopa przeciw księżom, panom i każdemu, kto chłopem, wyrobnikiem nie jest, nawet przeciw lepiej się mającym chłopom i rzemieślnikom. Jad tej trucizny nie zabije wiary i uczciwości ludu, ale ją osłabi, zachwieje. Socyaliści nie zdobędą sobie polskiego chłopa i do bezpośrednich wyborów, ale obałamucą go, rozjątrzą, obudzą w nim grube instynkta zemsty i chciwości. Patrzeć na to z założonemi rękami, równa się współwinie.

Agitacya ta zgubną dla wszystkich, jest nią i dla samego chłopa. Nie grzeszył on nigdy zbytkiem zamiłowania pracy i oszczędności. Idąc na lep niedorzecznych obietnic socyalistów, że mu będzie lepiej, że mniej będzie pracował, a zarabiał więcej, przypijając z nimi i przesiadując po karczmach, rozpróżniaczy i rozpije się, jak to widzimy na wielu „towarzyszach“ po miastach, tak, że żony ich przeklinają dzień i godzinę, w której mąż został socyalistą i tych, którzy go do *Siły* wciągnęli. Wieczne schadzki, narady, libacye i wkładki — a w domu nędza, oto bardzo częsty rezultat tego towarzystwa z socyalistami. Nie mówię już nic o moralnem zdziczeniu chłopa, jeżeli mu się bojaźń bożą i wiarę odbierze i osłabi, bo to koniecznie nastąpić musi.

W obec tej bezbożnej a zgubnej agitacyi azali nie jest obowiązkiem kapłanów, jako takich i jako *boni civis*, ostrzegać lud z ambony przed socyalistycznemi doktrynami jako herezyą XIX. wieku? Azali wpływem swym i pouczaniem nie powinni nakłaniać wójtów i urzędów gminnych do czujności i energii w obec zuchwalstwa socyalistycznych agitatorów, o ile to z ustawą gminną da się pogodzić; obywateli zaś i inteligencyi uczciwej pouczać, jeżeli potrzeba, żywem słowem, broszurami anti-socyalistycznemi, wzywać i zachęcać, aby kontragitacyą udaremniali propagandę socyalistów? Nadewszystko zaś po miastach i miasteczkach azali nie powinni zakładać kółek, towarzystwa robotniczego katolickiego, „Przyjaźni“, jaka już istnieje w Krakowie, Lwowie i Sączu, a istnieć powinno nietylko tam, gdzie *Siły* i zawodowe kółka kolejników agitują, ale gdzie ich jeszcze niema? Pewną ilość egzemplarzy „Ustaw Przyjaźni“ złożono w redakcyi *Gazety Kościelnej* na to, aby ułatwić kapłanom zapoznanie się z tem nowem stowarzyszeniem i zachęcić do zakładania jego kółek po miastach. Niech jednak z góry wie każdy kapłan, który „Przyjaźń“ zakłada, że nie dość założyć, ale i nadal sam musi być „duszą“ kółka, pilnować wydział. aby przestrzegał ustaw, zachęcać, animować wszystkich do uczęszczania na schadzki, zebrania, wspólne zabawy i t. d.

Może się mylę, ale mam to głębokie przekonanie, że jeżeli kapłani nie wezmą się za ręce i nie rozwiną energicznej kontr-akcyi sposobem wyżej wskazanym lub innym i siecią kółek „Przyjaźni“ nie zarzucą miast i miasteczek, tych kółek nie będą „duszą“ — to socyalizm, tak jak już wżarł się w kilkanaście miast, tak rozlezie się po wszystkich miasteczkach i po wsiach, rozpróżniaczy i rozpoi robotników miejskich; wzburzy i roznamiętni masy ludu, a jednych i drugich obedrze z wiary i pobożności. Tak się stanie z pewnością i w niedługim czasie.

Jak zaś kółka „Przyjaźni“ skutecznym są środkiem kontrakcyi socyalnej, to łatwo przekonać się z wściekłego gniewu socyalistów. Pisemka ich przepełnione są szyderstwem i napaściami na „Przyjaźń“ i jej kółka, na tych, którzy je założyli i do nich należą, oni zaś sami, socyaliści, dokuczają, ile tylko mogą, członkom „Przyjaźni“ i najniedorzeczniejszemi bajkami i namowami odwodzą tych, którzy się już wpisali, groźbami tych, którzy się zapisać okazują ochotę. Już tem samem, że każde kółko „Przyjaźni“ odciąga kilkaset robotników od sympatyzowania i przyjaźnienia się z socyalistami i odejmuje im materyał do agitacyi, że zmusza ich swe siły roztrzelić i część ich obracać na walkę z przeciwną zorganizowaną partyą, — już to jedno niemałą jest zasługą „Przyjaźni“.

Dotąd uczciwsza inteligencya miejska, obojętna na roboty socyalistów, obojętną też jest i na pracę „Przyjaźni“. I znów z tej obojętności wyrwać ją mogą, zdaniem mojem, tylko kapłani. Niech w każdem mieście i miasteczku urządzą kilka

jasnych, treściwych odczytów o genezie i rozwoju socyalizmu Marxa, bo ten głównie u nas praktykowany, o ateizmie i niedorzeczności jego doktryn; niech zedrą maskę z menerów socyalistycznych, ich kłam i obłudę odsłonią, niech rozrzucą między inteligencyą broszurę *Czy katolik może być socyalistą?* i drugą: *Socyalista nie może być katolikiem*, i trzecią, która już jest pod prasą, a nosi tytuł: *Socyaliści nasi w obec rozumu*, albo inne tym podobne [1]) — to wnet w każdym uczciwym a inteligentnym człowieku znajdą sojusznika przeciw socyalistom, a zwolennika „Przyjaźni“ i zainteresują dla niej szerokie koła publiczności. Ale trzeba się wziąć do dzieła, nie czekać ratunku od rządu, bo ten ustawami o stowarzyszeniach i zebraniach związane ma ręce, nie wywodzić na nic nieprzydatnych, choćby pobożnych, narzekań, ale działać i jeszcze działać w sposób, jaki nadmieniłem, byle wyjść raz z tej indolencyi i bezczynności, która ośmiela i rozzuchwala socyalistów w zgubnej ich robocie.

Ks. St. Zaleski.

BIBLIOGRAFIA.

Bronisław Gubrynowicz: **Malarze na dworze Jana III.** szkic historyczny. Lwów 1896, str. 23.

Jest to odczyt, dla tego pominął w nim autor apparat uczony, choć mógł go w druku dodać dla informacyi czytelnika. Słusznie pochwalone są zasługi całej dynastyi Wazów polskich około sztuk pięknych. Możnaby więc napisać o popieraniu przez nich muzyki, teatru i malarstwa, czego w całość jedne nie zebrano dotąd. Autor zajmuje się Janem III., który ukształcony wysoko i znający kraje postronne, we Willanowie szkołę malarską założył, na której istnienie nikt dotąd uwagi nie zwrócił.

P. Gubrynowicz poświęca dłuższy ustęp Marcinowi Altamontemu, którego obrazy zna każdy, kto był w Żółkwi i zwiedzał historyczny kościół farny. Skąd o tem wie, że lubo Neapolitańczyk z urodzenia, nosił niemieckie nazwisko Hohenberg i dopiero w drodze do Polski (?) na włoskie je odmienił, autor nie wyjaśnia. O Altamontich: synie, a może i ojcu, należałoby szukać wiadomości w klasztorze kanoników regularnych w Herzogenburgu pod Wiedniem, gdzie Altamonti młodszy obrazy swoje pozostawił. W jednym fejletonie *Vaterlandu* w r. b. była mowa o Herzogenburgu i nazwisko Altamontich wspominano.

Edward Rastawiecki w swoim *Słowniku malarzy polskich*, z którego autor także korzystał, pisze, niezawodnie za Ciampim, że r. 1682 jeden z kardynałów posłał Marcina Altamontego Janowi III. do Polski, chociaż sam dowodzi, iż data przybycia musiała być wcześniejsza; tymczasem p. Gubrynowicz bez podania żadnego źródła utrzymuje, że malarz ten „za pośrednictwem ojca Marka d'Aviano, który w r. 1684, bawił w interesach królewskich w Rzymie, przybył do Polski: Akademia sztuk pięknych rzymska poleciła go wysłannikowi Sobieskiego“.

Wiadomość ta, o ile się odnosi do O. Marka, prawdziwą być nie może. Sławny Kapucyn O. Marek z Avianu, nie d'Aviano, bo to nie jest nazwisko [2]), tylko oznaczenie miejsca pochodzenia, jak jest we zwyczaju dziś jeszcze u OO. Kapucynów [3]), znany z odsieczy wiedeńskiej, czczony jak święty przez Jana Sobieskiego, Leopolda cesarza i rodziny obydwóch, ani w r. 1684, ani w poprzedzających go bezpośrednio i następnych aż do śmierci latach († 1699 w Wiedniu) w Rzymie nie był. Łatwo się o tem przekonać z korespondencyi włoskiej z cesarzem Leopoldem, którą wydał wspaniale Onno Klopp in folio w Grazu r. 1888 pod tyt. *Corrispondenza epistolare* etc. Rodzina Sobieskich zachowała stosunki przyjaźni ze świątobliwym i mądrym Kapucynem aż do jego śmierci, bo królowa Marya Kazimira, opuszczając Polskę na zawsze, w podróży do Rzymu, przedsięwziętej, tak jak dzisiaj bywa zwyczaj, niby to *incognito*, pod imieniem margrabiny Jarosławskiej, gdy przejeżdżała przez Wenecyą, była 21. stycznia 1699 r. umyślnie na mszy św. O. Marka w kościele Odkupiciela. Po mszy św. królowa zakonnikowi, „którego pobożny i surowy żywot wskazywał jako prawdziwego sługę Bożego“, polecała duszę króla Jana, albowiem znał go osobiście z potrzeby wiedeńskiej. Dnia 25. stycznia, nie zważając na burzę, piętnącą bałwany na *Canal grande*, pojechała drugi raz na mszę O. Marka, naśladując Cezara (!), jak się wyraża bombastycznie historyograf jej podróży, a członek orszaku, kanonik Antoni Bassani *(Viaggio a Roma* di Maria Casimira etc. Rzym 1700). Żeby jednak O. Marek z Avianu miał sprowadzać Altamontego Sobieskiemu, na to trzeba złożyć dowód. W r. 1684 zaś był w obozie, od połowy do końca roku w Wenecyi, w marcu 1685 w Oderzo pod Teviso, w państwie weneckiem, skąd w czerwcu był z powrotem w Wiedniu. Na podróż do Rzymu nie było czasu i nigdzie o niej wzmianki niema.

Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, arcybiskup metropolita warszawski, napisał *ks. dr. Wincenty Smoczyński.* Kraków 1897, str. 67 (z portretem); cena 50 ct.

Kto z nas w Polsce nie spotykał ludzi, których życia treścią całą było cierpienie, szczęśliwym ludom nieznane: cierpienie dla ojczyzny? Istnieje między nami osobny tęskny typ doświadczonych niedolą wygnańców, którzy do swoich wróciwszy, smutnych śladów tułactwa w życiu złamanem się nie pozbyli.

Cierpienie każde dla wszelkiej niemateryalnej idei jest czemś poszanowania i czci godnem. Jeżeli się z niem kojarzy żywa wiara i życie dla Boga, staje się świętością, nauką i przykładem.

Rok właśnie mija, jak zstąpił do grobu biskup polski, którego żywot był jednem pasmem cierpień a zarazem chrześciańskiej zasługi i kapłańskich czynów wzorem. Syn wygnanki i sam wygnaniec, w sieroctwie i ubóstwie wzrósł, w cudzym, choć gościnnym domu, o mało że nie w zajezdnym, oczy zamknął, z ukrycia niespodzianie na wysokie dostojeństwo wyniesiony, dwadzieścia lat męzkiego wieku w więzieniu, choć murami nieobwiedzionem, przepędził.

Ks. prałat Smoczyński nie zamierzał pisać dokładnej i obszernej biografii śp. ks. Felińskiego, którego pobyt w Warszawie splótł się najściślej z dziejami kraju. Nie wiele się dowiadujemy z jego książki nawet o ściśle kościelnej, a tak doniosłej i błogiej, działalności ks. arcybiskupa podczas półtorarocznego jego arcypasterstwa. Mimo to szanowny autor, znany z gorliwości pasterskiej proboszcz i dziekan, zaszczytnym jest przykładem, że i pleban wiejski — chociaż mu nie łatwo o źródła i potrzebne książki — może czas znaleźć na zabawę piórem. O tem świadczy poczet znaczny pism ks. Smoczyńskiego. O ks. arcyb. Felińskim zdołał nad podziw wiele biograficznych zebrać szczegółów w swej wiejskiej ustroni.

Praca i miłosierdzie, obojo płynące z miłości Bożej, to była treść życia ks. Felińskiego. Jeden przykład rozumnej jałmużny przytoczymy. W Jarosławiu, gdzie przebywał na wygnaniu, znalazło się kilkaset naszych rodaków, których używano do roboty przy budowie drogi żelaznej. Uskarżyli się

---

[1]) Przypominamy szereg artykułów w *Gazecie kościelnej* z r. 1894, p. t. *Socyalizm w Galicyi* i broszurę O. Jackowskiego: O socyalizmie.

[2]) Karol Cristofori, ur. 17. listopada 1631 w miejscowości Aviano, w posiadłościach weneckich, wstąpiwszy r. 1648 w Conegliano do Kapucynów, przyjął imię zakonne Marka. Hinterlechner, *P. Marcus von Aviano*, Salzburg 1889.

[3]) W Polsce się ten zwyczaj dodawania do zakonnego imienia miejsca pochodzenia nie utrzymał dla trudności języka, każącego wtrącać niewygodne z albo tworzyć przymiotnik na kształt szlacheckich nazwisk. Pierwsi przecież polscy Kapucyni na początku XVIII. wieku od miejsca pochodzenia nazwę swą brali, n. p. Franciscus Maria Cracoviensis, Barnabas Plocensis, Bartholomaeus a Podolia, Humilis Gostinensis, zmarli wraz z 7 innymi Kapucynami r. 1708 z morowego powietrza w Warszawie. Michał Baliński, *Fundacya zakonu i kościoła OO. Kapucynów w Warszawie*, Warszawa 1840.

przed dostojnym współwygnańcem, że ich źle żywią. Ks. arcybiskup płacił zatem ich dozorcy miesięczny dodatek na poprawienie wiktu, a nadto przysłał trzy worki (książek) z elementarzami i książkami do nabożeństwa. W Tenczynku jeszcze żyje człowiek, co się na jednym z owych elementarzy wówczas czytać nauczył. Nawiedził ks. arcybiskupa w Jarosławiu, co autor pominął, śp. ks. Edmund Radziwiłł, który bawiąc w dobrach rodzinnych, za osobnem pozwoleniem rządu rossyjskiego, cichaczem zrobił wycieczkę nad Wołgę i odwiedziny swoje w odcinku *Kuryera Poznańskiego* bezimiennie opisał.

Dziwnie się czasem ze sobą wiążą zdarzenia i daty. W dzień N. Serca Jez. 1863 r. po nabożeństwie odprawionem u PP. Wizytek warszawskich otrzymał ks. Feliński wezwanie, aby się udał do Petersburga, skąd do kraju więcej nie wrócił. W dwadzieścia lat później znalazł się w tę samę uroczystość we Lwowie, przy pierwszym wstępie z wygnania na ojczystą ziemię. Pamiętamy ówczesne przybycie świątobliwego Pasterza do naszego grodu, w wytartej sutannie i ubogim słomianym kapeluszu, pamiętamy pełne uniesienia przyjęcie, które mu wówczas zgotowano. Szczegóły o niem i wiersz powitalny na jego cześć można znaleźć w *Przeglądzie lwowskim* z r. 1883.

Po tem nastąpiło 12 lat pracy w Dźwiniaczce. Każdemu wiadomo, że arcypasterz pracował tam jak prosty ekspozyt i to bezpłatny. Kto wie, czy te lata nie były najpiękniejszą i najszczęśliwszą epoką jego życia, gdy nie mogąc wrócić do swych owieczek, rąk nie założył, bezczynności się nie oddał, ale na usługi prostego ludu, znając każdej duszy ludzkiej godność, się wylał. Sprawdziło się tu na nim słowo poety:

> sługa Boży pracuje do późnego lata,
> gnuśnik tylko za wczasu zamyka się w grobie.

W Dźwiniaczce przygotował do druku ks. Feliński wszystkie swoje dzieła, z których żywot Pauliny Felińskiej najtrwalszą po nim pozostanie pamiątką, z samych niemal listów rodzinnych złożoną. W wyliczeniu ogłoszonych drukiem prac ks. arcybiskupa opuścił ks. Smoczyński: *Konferencye o powołaniu* (Kraków 1890), oraz bezimiennie wydany, słaby zresztą formą, poemat: *Prakseda, legenda z teki Anhellego,* drukowany w IV. tomie *Biblioteki rodzinnej* księgarni Klemensa Łukaszewicza razem z powiastką: *Niepożyte ziarno* Z. Sawczyńskiego (Lwów 1888).

W spuściznie pozostawił ks. Feliński coś lepszego niż książki, bo założone przez siebie Zgromadzenie *Sióstr Rodziny Maryi*, z domami w Dźwiniaczce, Czerniowcach, we Lwowie (przy ulicy Słodowej i u św. Łazarza) oraz w Łomnej, gdzie szkoła gospodarstwa domowego, prowadzona obok nauk i obowiązująca wszystkie wychowanki, może bardzo dobre usługi średnim stanom naszego społeczeństwa oddać, byle przez nie należycie była poparta.

Listów pisywał ks. Feliński mnóstwo, z właściwą sobie słodyczą, powagą i wdziękiem. Wielkąby wyświadczył narodowi naszemu przysługę, ktoby się ich zebraniem i ogłoszeniem zajął. Kilka, pisanych do Oporowa, do rodziny ks. Maryana Morawskiego T. J., wydrukował w *Kuryerze Pozn.* ks. prałat Wład. Woliński ze Strzelna, co dla pamięci zapisujemy. Obok listów duchownych ks. Antoniewicza, Jełowickiego i Goliana mogłyby stanąć listy ks. Felińskiego. Ta forma nauczania, jako prosta i łatwa, niesie więcej często pociechy, światła i ciepła do serc zbolałych lub niepewnością skołatanych, aniżeli systematyczne rozprawy i traktaty. Co płynie z serca, łatwiej też do serc trafia.

Za poprawienie kilka drobnych usterek w książce o ks. Felińskim szan. autor, jak mamy nadzieję, gniewać się nie będzie. Miejsce urodzenia Ewy Felińskiej brzmi Uznoba, *nie* Uznobia (zob. *Słownik geograf. warszaw.*); miasto na Wołyniu: Równe, *nie* Równo, więc do Równego Feliński się w młodości przeniósł, nie do Równa. Jest to drobnostka, ale niech starczy czcigodnemu autorowi za dowód, że bierzemy płody jego ducha na seryo i czytamy je ze skupioną uwagą. Słowacki w r. 1830 kraj na zawsze opuścił, i to nie z Wołynia, więc wątpić można, czy go Feliński dzieckiem mógł pamiętać. Ale krzemienieckie spólne obu rodzin wspomnienia i stosunki ich łączyły. Nazwisko wuja poety, przez omyłkę drukarską zmienione, powinno brzmieć: Januszewski. O Ossowej Felińskich jest cały rozdział w Kraszewskiego *Wspomnieniach Wołynia, Polesia i Litwy* (Wilno 1840, t. I.). O ks. Julianie Felińskim wypadało dodać, że był Zmartwychwstańcem. Opuścił to zgromadzenie, jak wiadomo, razem ze ś. p. ks. Skrochowskim i z ks. Alfonsem Krajewskim. Umarł w Gorycyi.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. Kardynał-dyakon Ruggiero, starzec ośmdziesięcioletni, zachorował ciężko.

— Kardynał Rampolla w asystencyi biskupa Gislena Veneri z Acquapendente i tyt. biskupa Wilhelma Pifferi z Porfyreon konsekrował w dniu 30. z. m. tyt. arcybiskupa Heraklei Msgra Arystydesa Rinaldini, mianowanego nuncyuszem w Brukseli i tyt. arcybiskupa Efezu, O. Sebastyana Martinelli, mianowanego apostolskim delegatem w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

— Ojciec św. w miejsce zmarłego kardynała Galimbertiego zamianował kardynała Franciszka Segna członkiem komisyi kardynałów do studyów historycznych. Do komisyi tej należą obecnie kardynałowie Parocchi, Capecelatro i Mazella, tudzież nieoznaczona ilość doradców, pomiędzy którymi O. Henryk Denifle O. P., O. Hartmann Grisar S. J. i mianowany niedawno O. Franciszek Ehrle, pierwszy kustosz biblioteki watykańskiej.

— W pewnych kołach, optymistycznie usposobionych, cieszą się głośno z tego, że narzeczona królewicza włoskiego, księżniczka czarnogórska Helena, przyjmuje wiarę katolicką. Uważają fakt ten za bezprzykładny tryumf papiestwa, o jakim Leon XIII. w ostatnich latach marzyć nie mógł. Cezaro-papizm w osobie swej głowy usuwa sam trudności, które przejście księżniczki prawosławnej na łono Kościoła rzymskiego napotyka, podczas gdy niedawno temu papież jak najstanowczej odrzucił myśl przyzwolenia na zmianę religii u dziecka; dom zaś sabaudzki, wróg śmiertelny papiestwa, sam przyczynia się do podniesienia jego świetności. Te uwagi uprawniają do nadziei, że nawrócenie księżniczki czarnogórskiej wpłynie na cały Wschód i otoczy w jego oczach papiestwo nimbem, który silnie powinien poprzeć propagandę Kościoła. — Tak optymistycznie trudno nam być usposobionymi, aby te rozumowania podzielać.

— Kongres studyów socyalnych odbył się w Padwie w dniach 26., 27. i 28. zm. Brali w nim udział kardynał Sarto, patryarcha wenecki, biskupi z Padwy, Vincenzy, Adryi, Cenedy, Concordyi i Fossano i około 500 uczestników. Kardynał-patryarcha celebrował mszę św. w bazylice św. Antoniego, poczem otwarto zebranie w pałacu biskupim, odczytując brewe Ojca św. z błogosławieństwem apostolskim. Głównym przedmiotem obrad kongresu było założenie związku do studyów socyalnych w celu obrony prawdy katolickiej przeciw napadom socyalizmu i anarchizmu

Galicya. Kraków. *Głos Narodu* (w n-rze 192, z 22. zm.) pisze: „W Cieszynie zaczął wychodzić dwutygodnik poświęcony wyłącznie sprawom kobiet pod tyt.: *Niewiasta.* Pismem kieruje p. Helena Hempel. Z nadesłanych nam numerów okazowych dwutygodnik przedstawia się bardzo dodatnio. Tendencya zacna i szlachetna, treść przystępna i urozmaicona. *Niewiasta* drukuje się w Czaczy na Węgrzech".

P. Helena Hempel od wielu lat jest zdeklarowaną zwolenniczką ks. Stojałowskiego, współpracowniczką i współwydawczynią jego pism, słowem — jego prawą ręką. Żeby w ostatnich czasach zmieniła zapatrywania, o tem nic nie wiadomo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa należy się tedy obawiać, że *Niewiasta* pójdzie drogą *Wieńca* i *Pszczółki.*

W tych warunkach — na podstawie „numerów okazowych — przyznawać „zacną i szlachetną tendencya" dwutygodnikowi p. Heleny Hempel, to kurtoazya za daleko idąca. Roztropniej byłoby zająć stanowisko wyczekujące.

Niemcy. *Germania* wnioskuje, że cesarz Wilhelm pod względem pojęcia wolnej woli zbliża się do katolicyzmu. W jednem z kazań, które podczas podróży do krajów północnych w r. 1894 wygłosił na swym jachcie, cesarz powiedział: „człowiek ma wolną wolę i może powstać przeciw woli Bożej, Bóg bowiem nie może

i nie chce przymuszać człowieka. Jak pasterz głosem swym woła owce, aby szły za nim, ale ich nie ciągnie na postronku, tak i Bóg czyni. Wszystko w świecie można rozsadzić i owładnąć: skały i dyament najtwardszy, ale nie serce człowieka. Dla tego Zbawiciel powiedział do rodu ludzkiego: „ile kroć chciałem zgromadzić syny twoje ..., a nie chciałeś“. W słowach tych, pisze *Germania*, mieści się doniosłe odstąpienie, jeżeli nie zupełne zerwanie z naukami Lutra, Kalwina i Zwinglego, wielkie zbliżenie się do nauki Kościoła katolickiego w jednej z głównych zasad wiary.

— Tegoroczne zgromadzenie walne Towarzystwa Görresa odbędzie się w Konstancyi w czasie od 28. do 30. bm.

Francya. Za inicyatywą deputowanego ks. Lemire odbył się w Rheims w ostatnich dniach zeszłego miesiąca kongres kapłanów. Przybyło około 800 duchownych z całej Francyi. Posiedzenia odbywały się w pałacu arcybiskupim. Omawiano przedewszystkiem utrudnienia, które państwo czyni Kościołowi, sprawę wspaniałości ceremonii kościelnych, potrzebę nowego katechizmu, kwestyą szkolną, sprawy społeczne i t. p. Stwierdzono na kongresie, iż we Francyi tylko stan średni dostarcza kapłanów świeckich; bogaci wstępują do zakonów.

— W Reims generalnego wikaryusza paryskiego Odelina i ks. Garniera za urządzenie niedozwolonej procesyi skazano na grzywnę po 2 franki. Wnieśli odwołanie.

— Proboszcza w Noisy-le-Sec uwolniono od winy urządzenia procesyi. Na to czerwona rada gminna uchwaliła zburzyć wszystkie krzyże na miejscach publicznych. W wykonaniu tej uchwały mer Lejeune wraz z jednym radnym w nocy zniszczyli trzy krzyże, z których jeden u wstępu na cmentarz. Na to kilkudziesięciu mieszkańców postawiło krzyże na swych domach.

— Msgr. Dabert, biskup w Perigueux, obchodzić będzie w dniu 27. października b. r. sześćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa. Gotuje się z tego powodu wspaniała a pobożna uroczystość w katedrze Saint-Tront, wśród której dawny sufragan jubilata, Msgr. Bonnet, biskup w Viviers, wygłosi kazanie.

Od Redakcyi.

Sprawozdanie z Wiecu katolików austryackich w Salzburgu podamy w następnym numerze.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Władysław Kotuski.** Z Drukarni W. Łozińskiego.